

## rozmowa z **KRYSTYNĄ JANDĄ**, aktorką

**– Od ćwierć wieku nie ustaje Pani w twórczych poszukiwaniach. Co jest głównym motorem napędowym?**

– Nie wiem. Chyba mój temperament. Moi bliscy śmieją się, że dzień bez „wyprodukowania” czegoś uważam za stracony. Poza tym zdaje się, że posiadam umiejętność wykorzystywania do pracy zawodowej właściwie wszystkiego: dni, spotkań, refleksji, przeczytanych książek, zauważonych reakcji, nawet własnych stresów i niepowodzeń. Wszystko przydaje mi się w zawodzie i budzi nowe pomysły.

**– W kręgu Pani zainteresowań znalazły się też wielkie gwiazdy: Maria Callas i Marlena Dietrich. Co Panią w nich najbardziej zafascynowało?**

– Nie one same, ale teksty teatralne, które ostatnio o nich powstały. Wspaniałe charakterystyczne role i waga tematów, które zawierają. Zafascynowała mnie możliwość rozmawiania z publicznością o artyście, o sztuce, pod pretekstem zagrania i Callas, i Dietrich. O relacji widz–aktor, o ważności piękna i sztuki w życiu każdego człowieka. Po przeczytaniu „Lekcji śpiewu” i „Marlene” zrozumiałam, że mam taką szansę. Postanowiłam ją wykorzystać. Callas wcześniej właściwie nie znałam, ale ta rola jest narysowana bardzo, bardzo precyzyjnie w sztuce, pozostało poznać jej twórczość i zrozumieć fenomen, jakim była. Marlena była mi od razu bliższa, bo jestem nią zafascynowana właści-

wie od dziecka. Jej płytę „Mythos – Marlena” kupiłam sobie chyba jako pierwszą w życiu i słucham do dzisiaj. W obu sztukach gram dojrzałe, bliskie starości kobiety, dwie wielkie, choć diametralnie różne, i fascynujące. Wielkie. Każda z innego powodu, różniące się wyglądem, i sposobem bycia. Ale problemy i „prawdy”, które kreując je poruszam, są uniwersalne. Oba teksty generalnie mają za zadanie „nauczyć” szacunku dla sztuki oraz opowiedzieć widzom o kulisach, kuchni i „technologii” bycia gwiazdą czy bycia wielkim artystą, jak kto woli. Pracując nad tymi rolami, nie tylko obie panie poznałam i rozumiałam, ale też nabrałam wobec obu ogromnego szacunku. Do Callas jako do artystki, do Marleny jako do człowieka, a dokładnie do jej postawy i odwagi, z jaką się sprzeciwiła hitleryzmowi. Przy-



czym Callas jest niezaprzeczalnym geniuszem w swojej dziedzinie, a Marlena swoistym geniuszem w umiejętności utrzymania swojego wizerunku.

**– Obie role imponują poczuciem humoru, charakterystycznością i mistrzostwem szczegółu. W jaki sposób osiągnęła to Pani?**

– O, istnieje wiele materiałów na temat obu pań. Nagrania, wywiady, filmy, koncerty, płyty. Wspomniały film dokumentalny o Marlenie autorstwa Maksymiliana Schella, na którym się głównie oparłam, a w przypadku Callas – nieprzebrana płytoteka, łącznie z nagraniami pi-rackimi. Miałam do tego wszystkiego dostęp nieograniczony, dzięki moim przyjaciółkom z Niemiec. Mogę chyba zaryzykować twierdzenie, że zobaczyłam i wysłuchałam właściwie wszystkiego, co na temat obu pań nakreślono czy nagrano. Poza tym myślę, że zagranie charakterystycznych ról, mając do dyspozycji taki materiał dotyczący „wzorów”, wymaga przede wszystkim dokonania umiejętnego wyboru – sposobu bycia, mówienia, charakterystyczności. Nie wiem, czy będę dobrze rozumiana, ale można tu było posunąć się bardzo daleko. Myślę, że gram obie artystki z szacunkiem dla nich i dla zawodu jednocześnie, nie wybielając ich, ani nie tracąc poczucia humoru na temat zjawiska, które nazywamy „gwiazdą”. Ale w obu przypadkach temat jest dla mnie najważniejszy. To nie są teksty biograficzne, to są opowieści o świecie sztuki i kobietach, które w swojej pracy zawodowej nie знаły słowa kompromisu.

**– Przed Callas i Marleną zagrała Pani w serialu TV wielką aktorkę Helenę Modrzejewską. Czy praca nad tą rolą była równie fascynująca?**

– Mimo solidnej wiedzy na temat Modrzejewskiej i jej czasów, poruszałam się we mgle. Nie istnieją przecież, jak w przypadku Marleny czy Callas, materiały filmowe. Oprócz zdjęć i relacji zapisanych, nie istnieje właściwie nic. Zadanie było dużo trudniejsze i dużo bardziej odpowiedzialne. Poza tym w momencie, kiedy zaczynaliśmy kręcić Modrzejewską, o wiele mniej umiałam i rozumiałam niż teraz. Miałam mniejsze doświadczenie. Teoretycznie wiedziałam, jaką kobietę, o jakich cechach osobowości mam zagrać, ale mogłam się właściwie oprzeć tylko na mojej wyobraźni. Pamiętam, jak w dniu rozpoczęcia zdjęć powiedziałam do siebie: cóż możesz zrobić? Ani nie wyglądasz jak ona, ani nie możesz zagrać tak jak ona. Jedyne, co możesz zrobić, to zrozumieć, jakim była człowiekiem, wyobrazić sobie wielkość jej aktorstwa i tego bronić. Spróbować zagrać osobę, którą współczesny widz zrozumiałby i być może polubił. A przede wszystkim zyskać dla niej szacunek. Pojechałam do Krakowa, bo pomyślałam, że musi mnie „Helenka” pobłogosławić. Odnalazłam jej grób. Na płycie zobaczyłam odlany w brązie jej profil i dumny napis: Helena Modrzejewska-Chłapowska, a u jej jakby stóp, nad samą ziemią, maleńkimi literkami: Karol Bodzenta-Chłapowski. Po zobaczeniu tego grobowca pomyślałam, że wiem o nich wszystko. To dodało mi odwagi.

**NIE CZUJĘ SIĘ** **GWMI**



**Gdybym nie zadebiutowała u Wajdy, byłabym dzisiaj zupełnie inną aktorką i innym człowiekiem**

**- Czy „penetrując” dusze trzech wielkich gwiazd, dowiedziała się Pani czegoś o sobie?**

- Tak, ale nie więcej niż przy konstruowaniu zwykłej „fikcyjnej” postaci. Najważniejsze, że potrafię się z nich śmiać, tak jak i z siebie, oczywiście niczego nie porównując. I jeszcze jedno, że naprawdę lubię trudne, ryzykowne zadania. Bawią mnie te, które dają szansę na całkowitą transformację. Mówię o Marlenie i Callas. Jak powiadam, Modrzejewska to było całkiem inne zadanie.

**- Czy Pani zdaniem dzisiaj można stworzyć taki młt, jakim była Marlena?**

- Myślę, że tak. Równie wielki, ale inny. Budowany na innych wartościach. Czasy się zmieniły. Wtedy gwiazda była kimś niedostępnym i niedoścignutym. Tajemniczym i niezrozumiałym. Doskonałością. Dziś aktorzy wychodzą ze skóry, żeby być podobnymi do ludzi, którzy siedzą na widowni, albo są całkowicie fikcyjnymi stworzeniami, rodzajem ponadludzkich robotów. Ale takie są wymagania publiczności.

**- Wielką sztuką jest umieć siebie wykreować. Marlenę Dietrich wykreował niemiecki, potem hollywoodzki reżyser Josef von Sternberg. A Panią?**

- Sternberg stworzył mit. Marlena już tylko potem, przez całe swoje życie pilnowała, aby nie został on zniekształcony. Pyta pani, kto wykreował mnie? Kartę wizytową, którą się wciąż postuguję, dał mi Andrzej Wajda. Pracuję 26 lat, dziś już sama decyduję o swoim wizerunku, ale to nie jest łatwe, szczególnie dlatego, że nie ma specjalistów, którzy mogliby w tym pomóc, zaś środki masowego przekazu żywią się potknięciami ludzi znanych, a nie ich sukcesami. Ja tylko mogę powiedzieć, że w moim przypadku korzystne okazało się „nieuda-

wanie niczego i nikogo innego, niż jestem”. Prawda. No i oczywiście szacunek do zawodu, publiczności, siebie samej i swojej pracy. Ale jestem zmęczona, coraz bardziej.

**- Czym dla Pani było spotkanie z Andrzejem Wajdą na planie filmu „Człowiek z marmuru”?**

- Andrzej jest najważniejszym człowiekiem w moim życiu zawodowym. Pierwszy film, pierwsza rola i praca z niezwykłym artystą. Zachłystnęłam się jego pasją. Gdybym nie zadebiutowała u Wajdy, byłabym dzisiaj zupełnie inną aktorką i innym człowiekiem. Dzięki Andrzejowi zrozumiałam, że można emocjonalnie traktować ten zawód i odważnie bić się o oryginalność, a także o prawo do indywidualnego myślenia.

**- Adam Hanuszkiewicz na festiwalu gwiazd w Międzyzdrojach powiedział, że jest Pani jedyną autentyczną gwiazdą w Polsce. Czuje się Pani gwiazdą?**

- I tak, i nie. Tak, w tym sensie, że uważam, co mówię i robię, bo mam uczucie, że jestem obserwowana. Tak, dlatego, bo muszę pilnować jakości tego, co robię, starać się być na poziomie oczekiwań widowni albo inaczej, starać się być lepszą, głębszą, poważniejszą aktorką, niż ludzie oczekują. Muszę być interesującym, atrakcyjnym partnerem, który ich wyprzedza w myśleniu. A z drugiej strony... Nie czuję się gwiazdą! Bo co to znaczy? Jestem zawodowcem, chciałabym powiedzieć - rzemieślnikiem. Fachowcem. Poza tym nie wyglądam na gwiazdę. Gwiazda? Co o tym świadczy? Nic. Dużo pracy, lęki, stresi, niepokoje. Ale jest taki czarowny moment, kiedy ja gram, a ludzie przeżywają. Bywają takie momenty. Jak się to nazywa, już nie jest ważne. A panu Adamowi Hanuszkiewiczowi serdecznie dziękuję.

**- Utarło się, że dla aktorek po czterdziestce**

**dokończenie na str. 26**

dokończenie ze str. 13

**nie ma ról. Tymczasem Pani ciągle jest „na topie”. Jedna świetna kreacja goni drugą, nie mniej wyśmienitą. Wydaje się, że gra Pani coraz więcej i coraz częściej?**

– Mam przed sobą nowy sezon. Boję się, że nie prześlpię żadnej nocy w tym roku do końca, tyle podjęłam zobowiązań. Za dużo! I to za każdym razem z powodu myśli, że już za chwilę nikt mi nic nie zaproponuje. Że to koniec. A potem okazuje się, że za dużo! W teatrze miałam premierę „Nocy Helvera”, przygotowuję jako reżyser „Klub kawalerów” dla telewizji, gram matkę Cezarego Baryki w filmowym „Przedwiośniu”.

**– Czy publiczność zaakceptuje Panią w roli matki dojrzałego mężczyzny?**

– Oczywiście. Najwyższy czas. Ja prywatnie jestem już babcią. A propos, czy wie pani, co zrobiła Marlena, gdy przyszła na świat jej wnuczka? Rozebrała się prawie do naga, wezwała fotografów i pozwoliła się sfotografować. Zdjęcie dała na okładki pism i kazała podpisać: „Dietrich babcią”.

**– Z jakimi uczuciami przygląda się Pani aktor-skemu rozwojowi córki, Marysi Seweryny?**

– Marysia poszła indywidualną, odmienną od mojej drogą. Bardzo trudną skądinąd. Z równolatkami robią swój teatr. Teatr kontrowersyjny, biedny, emocjonalny. Bardzo to szanuję. Ale jednocześnie bardzo chciałabym, żebyśmy spotykały się w jakiejś poważnej materii, ważnej dla nas obu, na scenie. Wydaje mi się, że znalazłam taki tekst. Premierę przewiduję 13 listopada w Teatrze Komedia. Bardzo się cieszę z tego projektu. Tym bardziej że zostaje przy tej okazji chyba pierwszym samodzielny przedsiębiorcą teatralnym. Postanowiłam bowiem wyprodukować to sama, między innymi dlatego, aby nie

budzić złych emocji i posądzeń o nepotyzm.

**– Gdzie i w jaki sposób wycisza Pani swoje zawodowe emocje?**

– W domu. Mam liczną rodzinę, dzieci, duży dom, psy, koty, ogród itd., itd., to tak naprawdę mój świat.

**– Edward Kłosiński, Pani mąż, jest również wybitnym artystą, operatorem filmowym. Dlaczego tak rzadko mówi Pani o nim?**

– Bo nikt mnie o niego w wywiadach nie pyta, jakby nie istniał, wszystko między nami w porządku, więc to nudny temat, a przecież on jest podstawą mojej egzystencji. Mam pełne „odbicie”.

**– Co to znaczy?**

– W zimie przyszedł do nas facet, aby sprawdzić kaloryfer, który źle grzeje. Posprawdzał coś i mówi: „Trzeba włożyć z tyłu srebrny ekran i wtedy całe ciepło pójdzie na pokój”. I właśnie Edward jest takim srebrnym ekranem dla mnie. A dzięki temu, że zawodowo realizujemy się osobno, bo każde z nas ma swoje sprawy i swój świat, nasz związek funkcjonuje bardzo dobrze. Edward zna mnie, rozumie i z cudowną ironią potrafi precyzyjnie odgadnąć, co się we mnie dzieje. Ma filozoficzny dystans do moich zawodowych szaleństw.

**– Czy w jakiegokolwiek dziedzinie rywalizuje Pani z nim?**

– Nie. To wspaniałe mieć poczucie, że mężczyzna, z którym się żyje, wie więcej i jest mądrzejszy. Kiedy mąż wyjeżdża na dłuższy czas, ja głupieję w tempie absolutnie katastroficznym. Nagle tracę proporcje spraw. Głupstwa urastają do gigantycznych rozmiarów ważności. Z jego przyjazdem wszystko wraca na właściwe miejsce. Odnajduję się. Zaczynam znówu prawidłowo oceniać to, co się dzieje dokoła.

**JADWIGA POLANOWSKA**